

V-10160/4 (1928)

Rok czwarty



CZASOPISMO

Koła Literackiego im. St. Żeromskiego

przy Państ. Sem. Naucz. Męskiem w Chełmie

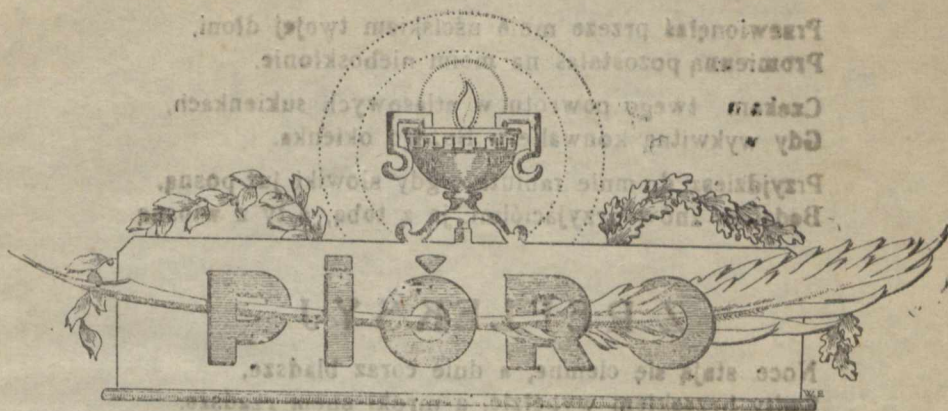
Maj 1928 r.

Nr 1 (7)



Y-10160

8/11/13/d



CZASOPISMO KOŁA LITERACKIEGO im. ST. ŻEROMSKIEGO
przy PAŃST. SEM. NAUCZ. MĘSKIM W CHELMIE

Redakcja i administracja: **Państw. Semin. Naucz. Męskie w Chełmie Lub.**

OD REDAKCJI

Poczynając od numeru bieżącego, czasopismo „Pióro”, dotychczas organ młodzieży Państw. Sem. Naucz. Męsk w Chełmie, przechodzi pod wyłączny kierunek Koła Literackiego przy Państw. Sem. Naucz. Męsk. w Chełmie. W związku z tem zmieniamy gruntownie charakter pisma, przeznaczając całkowicie łamy jego na próby literackie młodzieży. Pragniemy w ten sposób przyczynić się do obudzenia i rozszerzenia zamiłowań literackich wśród ogółu kolegów, których prace bardziej wartościowe chętnie będziemy w „Piórze” zamieszczali.



P O W R Ó T

Przewionęłaś przeze mnie uściskiem twojej dłoni,
Promienną pozostałaś na moim nieboskronie.

Czekam twego powrotu w atlasowych sukienkach,
Gdy wykwitną konwalje u Bożego okienka.

Przyjdiesz do mnie raniutko, gdy słowiki już posną,
Będziem znów przyjaciółmi: ja z tobą, a ty z wiosną.

Z R E F L E K S Y J

Noce stają się ciemne, a dnie coraz bladsze,
Świty brzaskiem wypełzłe, a mroki snem rzadsze.
Rozpacz obdarła z kory wyniosłe w niebo dęby
I nurtem traci rdzenie coraz to głębiej...głębiej...
Przychodzą przebudzenia, co jeżą włosy na głowie
A sny targają zmysły, choć ciało już spoczywa.
Myśl jak miecz obosieczny, rozsądek w nas połowi,
Że może brzmi fanfara, co nas na miejsce wzywa.

* * *

Chodzę błędnie polami,
Zbieram blaski o wschodzie,
Śycę usta rankami
I zmrokami się chłodzę.

W ciemnych nocach się nurzam,
Tańczę tańcem z wichrami,
Gdy uderza w bór burza,
Łamię drzewa grzmotami.

Kradnę blaski wzorzyste
Rozsrebrzonym przedświtem.
Wkładam słowa przejrzyste
W dusz melodję ukrytą.

A gdy dreszcze radości
Poczną wstrząsać drzewami,
Śmiech się w ustach rozgości
I przesłoni się snami.

Witold Kasperski

PRZEDWCZESNA WIOSNA

Popędził wdał jęczący wiatr,
Szamocząc drzew konary,
Wzniósł smutki me nad szczyty Tatr,
Nad sinych mgieł opary...
Wtem olśnił wschód poranny brzask,
Z za chmur błysł promyk słońca,
Roztoczył czar, jak szczęścia blask,
I objął świat bez końca.
I musnął wiew, wiosenny wiew,
Świat lśniący blaskiem kolji
I drgnęła pierś, zagrała krew,
Myśl budząc z melancholji.
Pragnąłem żyć, pragnąłem śnić
W radosnym życia szale,
Prząc chciałem nieć, prząc marzeń nieć
O swoim ideale...
Wtem naniósł chmur północny wiatr,
Zawodząc hymn żałosny.
Zasępił się wnet cały świat,
Prysnęła słodycz wiosny...
I szalał znów jęczący wiatr,
Szamocąc drzew konary,
Niósł cichy żal nad szczyty Tatr,
Nad sinych mgieł opary...

W. K.



Józef Wüstenberg

Zwyciężony

— nowela —

1.

W niewielkiej kawiarni, mieszczącej się przy jednej z bocznych ulic Warszawy, od samego rana panował wielki ruch. Zbierała się tu przeważnie brać artystyczna—jak zwykle goła, lecz zawsze pełna werwy i życia. O każdej porze dnia wszystkie nieliczne stoliki, mieszczące się przy ścianach i na środku lokalu, były zajęte. Uczęszczająca tu publiczność przedstawiała prawdziwą zbieraninę typów i charakterów. Pewnego wieczoru było tu jak zwykle rojno i gwarno. Wszystkie prawie stoliki były zajęte. Szczególną uwagę zwracała na siebie grupka, siedząca w kącie przy bufecie. Rozprawiali najgłośniej.

—Ja panowie—perorował szczupły blondyn—stanowczo zaprzeczam panowaniu duszy nad istotą ludzką. Człowiek jest tylko mądrym zwierzęciem, którego mózg funkcjonuje daleko poprawniej oraz jest bardziej złożony od mózgów ogółu zwierząt, którym dostępne są tylko wrażenia fizyczne, i które pamięć mają krótką i okolicznościową.

—Masz rację!—odezwał się siedzący vis á vis student—Mamy żywy przykład na tobie!

—Ciebie tylko same głupie koncepty się trzymają,—obruszył się nań blondyn

—Sza! Panowie! Nie kłóćcie się!—wzmieszał się milczący dotąd młodzieniec o dużych, niebieskich, marzących oczach—Staśkowi się zdaje, że jest wyrocznią w sprawach duchowych—rzekł, wskazując na blondyna, —a tymczasem plecie tanie koszałki

—opałki, że aż brzydko słuchać, a jak jeszcze dobierze sobie do kompanii Janka Ruszczyca, to choć uszy zatykać—mówił śpiewnym litewskim akcentem.

—Et muzyku! Milczałbyś i nie robił z siebie wyroczni—przerwał mu blondyn—Znasz się na tem, jak ja na astrologji, a co do Janka Ruszczyca, to nie twej głowie go krytykować! Jest to natura wyjątkowa, zresztą idźcie on sam, więc gadaj z nim. Tu się usunął, robiąc miejsce nowoprzybytemu. Był to wysoki, dobrze zbudowany młodzian o wyrazistej, smagłej twarzy. Czarne włosy, niedbale ułożone, wily się mu w dziwnych splotach na kształtnej głowie. Ciemne oczy, polyskujące nadmiarem tłumionego życia, patrzyły poważnie lecz jednocześnie zuchwale.

—O co chodzi? zagadnął, siadając obok blondyna. Ten mu wyluszczył zaraz całą sprawę. Widzicie—zaczął—co do mnie, to jestem wyłącznym panem siebie i swego instyktu, który jako inteligentne zwierzę posiadam. Jestem poza uczuciem! Wy zacofane głowy, chcecie świat reformować, a nie wiecie, czym jesteście. Uważacie się za postępowców, a jesteście gromadą baranów, idących kupą za urojonym postępem pod batem obyczajów, tradycji i temu podobnych głupstw. I to jest ludzkość?! Ha—ha—ha! Głupcy!

—Ty zaraz musisz drwić—odezwał się muzyk swym łagodnym akcentem.

—Marzyłem, że się porozumiemy

Kiedys, załowałem Ciebie, boś nieszcześliwy i szkoda mi bardzo, że nie możemy się zrozumieć.

—Szczególna ochota! Jeżeli myślisz mnie nawrócić—próżna fatyga. Nie mamy o czem gadać. Religję uważam za wymysł głupi płytkich głów, które zawsze się muszą czemuś kłaniać. Ona to tamuje naukę, rozwój ducha człowieczego, zabija energję i szerszy polot myśli. Ona jest kajdanami ludzkości, która, ugiąwszy karku pokornie, kroczy pod tem jarzmem

ogłupiona, zahukana, nakarmiona głupimi formułkami bez podstawy, ślepo wierząca w owe przyszłe życie! Ha-ha! Przyszłe życie! Głupcy! Nie wolnicy! O tak będzie wzniesione owo wasze „przyszłe“ życie w brzuchach robaków, które was pożra! Umilkł. Przy sąsiednich stolikach słysząc było szmery. Muzyk schylony nad stołem zakrył twarz rękami. Wypiszy w milczeniu piwo, Ruszczyć wstał i lekko skinąwszy głową siedzącym, ruszył ku wyjściu.

2.

Musiał odetchnąć. Krew paliła mu głowę. Czuł jakieś dziwne podniecenie. Skierował się ku Wiśle, nad której brzegami lubił spacerować. Pora już była późna: Od czasu do czasu gdzieś niegdzie zaturkotała dorożka i przesunęło się oświetlone pudło nocnego tramwaju... Szedł coraz wolniej zamysłony, że wzrokiem utkwionym w szare płyty chodnika oświetlone bladawem światłem latarni. W krótkim czasie poczuł orzeźwiający nocny powiew rzeki. Był nad Wisłą. Wdali połyskiwały latarnie mostów. Naprzeciw po drugiej stronie rzeki czerniały ciemne kształty domów Pragi; upstrzone gdzieś niegdzieś nikłemi światełkami okien. Usiadł na przewróconym słupku. Przed nim rozciągał się czarny obszar Wisły. Siedział zapałtrony w atramentowe wody, sunące z głuchym poszumem i bełkotem w ciemną dal. Za nim drgały światła Warszawy i dolatywały odgłosy nocnego życia stolicy. Dumał tak może z godzinę, gdy nagle w pobliżu ujrzał jakąś samotną kobiecą postać. Szła powoli, co chwila przystając. Miał wrażenie, że nad czemś medytuje. Patrzył z ciekawioną

Skierowała się wreszcie w jego stronę, do mostków, u których poczepiane były łodzie. Zaintrygowany wstał i zaczął cicho podchodzić do najbliższego. Widać, że go nie zauważyła, bo skierowała się do tego samego mostka i jakby nagle zdecydowana, stanowczym krokiem wstąpiła na deski. Zachowując ciszę, podążył za nią. Była już na końcu platformy... przystanęła. Zatrzymał się i Ruszczyć. Domyślił się. Szyderczy uśmiech wykrzywił jego ładną twarz —

—Ucieczka od przyjemności ludzkiego życia.

—Hm! Dobry sposób! — wyszeptał. ... Postać kobieca jeszcze stała schylona nad wodą.

Do uszu jego dobiegł tłumiony szloch. Skrzywił się... Nie lubił tego... Nagle kobieta zniknęła.

Usłyszał plusk wody i przytłumiony krzyk. W paru susach był na końcu kładki. Ujrzał szamoczącą się w wodzie kobietę. Ręką chciała w rozpaczonym wysiłku dostać końców desek kładki, lecz były za wysoko... Pograżyla się znowu. Po chwili powtórnie ujrzał jej twarz wykrzywioną grymasem śmiertelnego strachu nad

wodą... Zobaczyła go! I znów się pogrążając w ciemną wodę, wyciągnęła do niego ręce..... Stał chłodny, nieporuszony z szyderczym grymasem na twarzy... Zniknęła znów. Widział potem tylko nad wodą rój baniek, wypryskujących i pękających na czarnej powierzchni, lecz wkrótce i te przestały się ukazywać. Woda nadal toczyła swe mętnawo czarne ciało, bulgocząc o pale mostków. Stał długo nad tem miejscem, gdzie zniknęła samobójczyni, przyglądając się wodzie.

—Cóż to osoba tak medytuje nad wodą?—rozległ się nagle tuż za nim ochrypły głos. Drgnąwszy, raptownie się obrócił. Stała przed nim jedna z tych wielu podejrzanym nocnych postaci Powiśla. Z cudzego ramienia marynarka, łatana we wszystkich możliwych do tego miejscach. Z pod nasuniętego na oczy kaszkietu, przy mdławym odblysku dalekich latarni, wyglądała brudna i niegolona twarz ze znakami najróżnorodniejszych przejsć. Milcząc, patrzył na opryszkę.

—No! Niech osoba tak reflektorów nie nastawia,—a wyszyncuje migiem futerały—odezwał się wreszcie opryszek, przystępując do niego. Wtedy w piersi Ruszczyca wezbrała nagle fala wściekłości. Zamierzył się, by gruchnąć opryszkę między oczy, lecz ten odskakując wydobyl z rękawa nóż.

—Ho, ho! Nie tak prędko! Widzę, że osoba impetyczna, zaraz tu z flaczkami wypuścimy trochę impetu—i gotował się do skoku. Ruszczyca warknął groźnie i wyrwał z tylnej kieszeni brauning.... padł suchy strzał... Andrus, puściwszy nóż, zakreślił się na miejscu, a straciwszy grunt pod nogami, runął do wody. Ruszczyca stał chwilę bez ruchu, potem schowawszy spokojnie rewolwer, skierował się na brzeg, gdzie usiadł znów na dawnem miejscu. Sie tział nieruchomy, zapatrzone w ciemne nurty wody.

Wszystko, co się działo przed chwilą, w jakimś dziwnym chaosie wirowało w jego głowie. Widział znów wyciągającą się rękę topielicy i jej przerażoną twarz. Patrzył na niego dziwnie błędne oczy, mające za chwilę umrzeć, obłąkańcze, wszystko widzące. Starł się ułożyć swą twarz do szyderczego uśmiechu, lecz czuł, że się wykrzywia w jakimś dziwnym spaźmie. To znów zdawało się mu, że woda w miejscu, gdzie pogrążył się andrus, zaczyna się dziwnie kotłować i wyglądają z niej niebieskie, marzące oczy muzyka. Po chwili ciężkich zmagani opanował wreszcie swą wyobraźnię. Cóż go świat i ludzie obchodzą! Jest on ponad nimi, on inteligentne zwierzę—nie może mieć przecie duszy, która zresztą jest głupim wymysłem religii. Poczuł się wtedy zadowolonym. To nie sumienie się w nim odzywało i nękało go przed chwilą. Nie! To tylko jedynie zwierzęca udoskonalona pamięć. Chciał się upodobnić do zwierzęcia, bo był niem, a wszelkie udawanie istot wyższych byłoby nędzną hipokryzją, której nie znosił. Walka o byt—zachłanna, nieugięta—oto jego dewiza! Żadnych słabości! Żadnego odstępstwa od raz wytkniętego celu! Gdyby ratował tonącą—postąpiłby wbrew swym zasadom, Uratowana przysporzyłaby mu jedną więcej jednostkę z którąby potem musiał walczyć. I nagle uczuł, że w głębi duszy coś mu szepnęło: „To egoizm“! Lecz rozum stanowczo zareagował:—„Nie! egoizm jest głupim wymysłem moralistów. Egoizm jako odrębne pojęcie nie istnieje, istnieje tylko własne samopoczucie jaźni zachowawczej. Egoizmem bronią się tylko słabi, dla nich stworzyli go moralisci. Żyć powinni tylko silni! Nie dla niego są głupie klesze prawa moralności, lecz dla tych zaślepionych w swej ludzkiej godności zwierząt,

twierdzących jak papugi za swymi miertelną! Mamy wolność woli!—
prowodyrami:—Mamy duszę nieś-

3.

Switać już zaczęło, gdy wstał narzeczcie i skierował się ku miastu. Szedł wolno. Było już zupełnie jasno, gdy wyszedł na Wierzbową powietrze go orzeźwiło. Poczul znów nadmiar sił. Kroczył, wdychając świeżość poranka całą piersią. Rzadcy przechodnie snuli się po ulicy. Od czasu do czasu turkotała dorożka,

śpieszająca na zarobek.. Przechodził właśnie około kościoła i nagle oparowała go jakaś dziwna chęć wejścia do środka. Dzwoniono na ranną mszę. W duchu nazywał kościoły świątyniami obludy, to też gdy wstępował po szerokich kamiennych schodach, uśmiechał się szyderczo.

4.

Po odejściu Ruszczyca, przy stoliku parę chwil panowało przykre milczenie.

—Dziwny człowiek!— odezwał się wreszcie wstając i żegnając resztę towarzystwa muzyk.

—Zaczekaj Surwił! Pójdziemy razem—rzekł też wstając student. Po chwili już byli na ulicy. Parę minut szli w milczeniu, każdy pogrążony w swych myślach.—No i cóż ty na to wszystko?—Zagadnął student przysuwając się bliżej do Surwiłła.

—Coż ja mogę? Życzę Jankowi jak najlepiej, lecz to wyjątkowa natura Unikat w swoim rodzaju. Trudno go przekonać.

—W każdym bądź razie ma on w sobie coś demonicznego—rzekł, zapalając papierosa, student.—Dziwi mnie tylko, że pomimo takiej różnicy charakterów żyjecie z sobą wy-

jątkowo dobrze.

—Tak, lubię go bardzo, bo w gruncie rzeczy jest to chłopak dobry lecz impetyk. Zawsze muszę mu we wszystkim ustępować. Gdy idę do kościoła, gdzie często grywam na organach, zawsze mówi, że idę do świątyni Obludy żale rozwodzić. I nigdy też nie udało się mi go w żaden sposób zaciągnąć na nabożeństwo, bo twierdzi, że nie lubi pa-trzeć na żadne szopki religijne.

—No, jakże krytytyka odniosła się do twojej nowej rapsodji organowej?—rzekł, zmieniając temat rozmowy, student.—Słyszałem, że zrobiła wielkie wrażenie.—Owszem. Dość przychylnie. Mam nawet we czwartek koncertować w Filharmonji.

—No, życzę powodzenia—mruknął żegnając się student—Przyjdę posłuchać.

Całą noc Surwiłł nie mógł zasnąć. Stał mu ciągle przed oczyma Ruszczyć. Słyszał jego bluźnierstwa i wyzywający ton mowy. Wzdrygał się i cierpiał. Wychowany w szlacheckim zaścianku na Litwie, od dzieciństwa był bardzo pobożny, to też cierpiał niezmiennie, gdy Ruszczyć zaczynał wyklądać swoje teorie. Starał się wtedy na swój sposób go mitygować, lecz zawsze bez skutku. Ruszczyć zaczynał się wtedy w uporze i szydził niemiłosiernie z najświętszych uczuć Surwiłła. W odpowiedzi ten zwykle zatykał uszy i uciekał. Marzeniem jego było zaciągnąć przyjaciela do kościoła, lecz nigdy mu się to nie udało. Ach! gdyby chciał posłuchać podczas nabożeństwa jego muzyki, jakby on

grał! Na takich myślach przeleciała mu cała noc.

Dniało. Czas było już do kościoła, bo obiecał, że na rannej mszy będzie grać. Prędko zebrawszy się — wyruszył.

W kościele były jeszcze pustki. Wszedł na chór, zaczął porządkować nuty. Praca ta zajęła mu parę minut czasu i gdy po dzwonku, zwiastującym rozpoczęcie mszy, spójrzył na kościół, osłupiał: w ławkach na dole siedział Ruszczyć. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało. Drżącymi palcami zaczął rozkładać nuty. W głowie jego krążył chaotyczny splót myśli, lecz jedna wybijała się swą wyrazistością: — Tak! dziś musi włożyć w tony całą duszę, wszystkie nerwy. Zasiadł do organu.

Ruszczyć siedział w ławkach. Jakaś dziwna powaga strzelistych sklepień gotyku odrazu uderzyła jego oczy. Przyglądał się badawczo otoczeniu. Wszystko było takie proste, a zarazem wzniosłe i spokojne. Zapach kadzidła i chłód, bijący od wysokich sklepień, działał dziwnie uspakajająco. Złościło go to. W duszy jego tętniły nawałnice namiętności i ta chłodna cisza i spokój działały na niego dziwnie. Czuł, że jego myśli szydercze są przyziemne i słabe, a ta świątynia swym dostojnym spokojem przyciągała go. Myśl jego wysilała się na uzasadnienie tego wrażenia. Szeptał w duchu: — O królowo hipokryzji! Ubrałaś się we wspaniałe szaty dostojności! Jesteś wielka w swej wspaniałości, lecz ja, wolne zwierzę, pogardzam Tobą! Imponuj stadom zaślepionym! Jam ponad nimi.

— Myśli jego zmieniały się jak w kalejdoskopie. I oto nagle przyszła nowa. — On — syn marnotrawny, którego ojciec — Kościół przygarnia. Wzburzył się cały. — Niel! Drwi on z tej dobroci fałszywej, z mitu — Boga — on człowiek — zwierzę... ledwie nie wybuchnął głośno. Z drwiącym uśmiechem patrzył na początek mszy.

— Ha! Obłudnicy! Komedjanci-byskało w jego głowie... Kapłan wstępował na stopnie ołtarza. Odezwały się organy. Surwiłł grał. Poważne, ciche, a zarazem jędrne tony w dziwnych splotach harmonji polały się z góry, zapelniając całą świątynię mocną, łagodnie drgającą falą. Wzdrygnął się. W wyobraźni mu stała jakaś mglista, cudnie biała postać. W rękę trzymała lirę, poruszając jej strunami.... i płynęła drgająca melodia. Cały kościół na-

pełniał się cudnymi oktavami dziwnych orkiestr, ukrytych gdzieś hen w górze. Przesypywały się jakby trele słowicze, wtórowały im jakieś faliste duety skrzypcowe, to znów odzywały się głosy dalekich śpiewów. Biała postać poruszała strunami liry coraz mocniej, silniej... tężały, rodziły się w sobie dźwięki, napełniały grzmotami harmonji kościoł. Już się nie perły szelestnie przesypywały, nie kwiliły błagalnie skrzypcowe tony,

lecz grzmiąły surmy triumfalne, biły grzmoty. Rozchodziła się pieśń Mocy w akordach wielkich, jędrnych, głośnych coraz to silniej, mocniej i... cichła nagle, uchodząc wdał, gdzie brzmiała jak odgłosy przeszłej burzy w coraz to cichszych pianissimach. A w górze już się rodziły nowe dźwięki, sycąc przestrzeń słońcem i miłością, pogodnie jak niebo po burzy śpiewały o Życiu, Szczęściu i wielkości czyjejs dobrej i doskonałej.

7.

Oszołomiły Ruszczyca potoki dźwięków. Dotknęło uroczyste piękno tonów. Czuł, że jakaś noszona dotychczas w piersiach bryła lodu taje powoli, że piersi napełniają się nieznanem dotąd ciepłem. Cudna melodia zaświatów spływała nadal na kościół potężnymi zwojami splotów harmonji.

Kruszyła zasieki uporu. Wślizgiwała się nieznanymi drogami do wnętrza jestestwa. Zalewała zarzewia sztyderczych myśli, miażdżyła zło. Czuł to Ruszczyca dobrze i gdy nareszcie tony ucichły, długi czas siedział jak oszłamiony i przybity.

8.

Tego dnia nie było go w kawiarni i dość duże grono zwolenników jego myśli siedziało zdziwione jego nieobecnością, czekając do późnej nocy. Tak samo nie zjawił się tego dnia i Surwiłł. Po skończonej mszy widział

Ruszczyca, siedzącego w ławkach nieruchomo z opuszczoną głową. Zrozumiał. Chwiejnym krokiem zeszedł z chóru, kierując się do domu. Był cały wzruszony i wyczerpany swą grą oraz zachowaniem Ruszczyca.

9.

Ruszczyca spędził drugą bezsenność noc w walce z samym sobą. Czuł, że coś w nim nadwerżyło jego wszystkie dogmaty, które uważał za niezłomne. To coś wkrało się do jego piersi, wskazując mu w niej jakieś nieznanne dotychczas szare pustki. To coś nękało go cały czas, tak że nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wściekał się, biegał jak szalony po pokoju. Palila go własna krwawa namiętność. On

miałby ulec! On, mocarz, dyktator własnego sumienia? Nie! Nigdy! Raczej zginie jak owa topielica! Tu łapał siebie na tej myśli o śmierci, która dowodziła jego człowieczeństwa. A może? I znów bezsilny, od ponownego napływu podniecenia rzucał się na łóżko, gryząc poduszki. Nad ranem dopiero wyczerpany usnął. Cały następny dzień Ruszczyca chodził osowiały i ponury. Toczył go ja-

kiś tępy ból. Parę razy wychodził na miasto i zawsze droga wypadła mu około kościoła. Łapał siebie na tem i wtedy przystając, zgrzytał zębami.

—Ha! Przekłeta świątynio obludy! —Biegł dalej, roztrącając przechodni.

W kawiarni i tego dnia się nie pokazał. Błądził po mieście jak maniak. Zawędrował aż nad Wisłę. Ciągnęła go jakaś moc nieprzeparta do miejsca, gdzie utonęło dwoje osób. Stanawszy na mostku, wpatrywał się w mętne wody rzeki, bulgoczącej obojętnie przy palach. Zdawało mu się, że widzi ciała topielców —tam na dnie— splecione z sobą w niemy uścisk, że woda je unosi i oto wypływają na powierzchnię, wzdęci, sini, obmokli. Oblany chłodnym potem ukląkł na mostku i zajrzał pod deski. Cofnął się raptownie przerażony. Tuż pod deskami mostka zobaczył oślizgłą twarz andrusa z otwartymi oczyma, wlepionemi w niego z dziwnym wyrazem.

Zgiął się, przemógłszy siebie jeszcze raz. Twarz andrusa sina, obmokła, przewrócona falą na bok migą mu wyblakłym okiem, zakrywaniem co chwila wodą. Zerwał się nieprzytomny, biegnąc ku miastu. Szedł jakimś zaułkami Powiśla, błąkał się pod mostem Pomatowskiego. Coś w nim pękło, coś się rozluźniło. Czuł, że gmach idei tak mozolnie wzniesiony, zarysował się u samych podstaw i lada chwila runie, grzebiąc go pod swym gruzem.

Przyniósł z sobą do domu butelkę wódki Pił kieliszek po kieliszku, lecz to nie przynosiło mu ulgi. Namietności gorzały w nim jeszcze więcej. Późnym wieczorem ktoś zastukał do jego pokoju. Nie odezwał się nawet. Czart to był, co go zmiażdżył i odebrał panowanie nad sobą. A tam w środku ból rosnący, wzbierający, wiercący każdy nerw. Szalał.

10.

Ranek zastał go siedzącego nad pustą butelką. Włosy w nieładzie spadały mu czarnemi zwojami na zmarszczone czoło. Błądą twarz z wyrazem bólu oparł na rękę i tylko oczy mu gorzały nieznanym dotychczas blaskiem. Czuł, że musi pójść znów do kościoła. Musi usłyszeć owe dźwięki, musi zwyciężyć. To, co dotychczas przebył, było chwilową słabością. On mocarz pokonany być nie może! On zwycięży! —Gorączkowo się ubrał i podążył do kościoła.

I oto znów siedział na tem samem miejscu. Znow spływały na niego tony, lecz jak inne. Poczuł w sobie moc, a zarazem dziki żal za ową muzyką. Zdawało się mu, że nie

usłyszy już nigdy owych zaziemskich tonów. Policzki mu płonęły, ręce drżały.

Msza dobiegała środka. Starszek organista grał na chórze.

I nagle zdało się Ruszczycowi, że jeśli znów ujrzy ową twarz pod mostkiem na Wiśle, usłyszy owe tony. Zerwał się z ławki i z pośpiechem wybiegł z kościoła. Biegł ku Wiśle, nie zważając na drogę i roztrącając przechodni. Lecz gdy był już koło mostków, zauważył, że teraz zamiaru swego wykonać nie może, gdyż na przystani panował ruch. Przyjeżdżały i odjeżdżały łódki, kręcili się ludzie. Ogarnęła go nagle obawa, by kto nie odkrył trupa andrusa. Przyjechała właśnie jakaś łódka i wio-

ślarz zaczął przyczepiać ją do pala, sięgając ręką aż pod deski mostka. Ruszczycowi aż skóra ścierpła. Tak na brzegu spędził cały dzień. Gdy nareszcie wszystko się uspokoiło, było już zupełnie ciemno. Ruszczyc z dziwnym drżeniem skierował się ku fatalnemu miejscu. Wyjął z jakiejś łódki drąg i zaczął nim operować pod mostkiem, lecz niestety bez skutku. Zaczął mżyć drobny deszcz. Deski obmokły. Słabe światła latarni odbijały się w wodzie, tworząc nikłe refleksy. Ruszczyc wciąż jeszcze porał się z trupem, nie mógł go wydobyć z pod mostka. Palto na nim przemokło zupełnie, lecz on z dziwnym uporem manipulował drągiem. Cały drżał z podniecenia i chęci ujrzenia trupa i gdy nareszcie

ukazała się twarz andrusa z pod desek, zaśmiał się dziko i uderzył w nią kulakiem. Trup znów znikł pod wodą. W piersi Ruszczycy wezbrała fala wściekłości—A! Więc uciekasz, kanaj! Schylił się raptownie, chcąc złapać niknącego topielca, lecz nie obrachowawszy w podnieceniu ruchu, wpadł do wody. Trzymał trupa mocno, bijąc go po twarzy. Zanurzył się. Głębiej wyrzucił na powierzchnię, uczuł, że siły go opuszczają. Z dzikim skowytym zaczął się mocować z wodą, lecz namokłe palto było, jak olów. Poczuł, że się znów zanurza, otworzył szeroko oczy. Andrus wesoło uśmiechał się do niego, migając okiem tuż obok. Wpił się w jego twarz ręką. Zanurzył się.

11.

Deszcz mżył, pluskając drobnymi kropelkami. Z miasta dochodziły odgłosy nocnego życia. Obmokły mo-

stek rzucał czarny cień na wodę, bulgoczącą o pale.

Z „MIŁOŚCI TWORZĄCEJ”

Jana Szczawieja

NA OSTATNIEJ KARCIE „LUDZI BEZDOMNYCH”

W. K.

Ta miłość tak się jątrzy, jak rozdrapana rana
I tak nadludzko boli, że więcej niema siły,
Bezsenne w męce noc: jej postać ukochana
Samotne, smutne serce osoczem krwi zboczyły.

Nie, to nie takie życie, o jakim marzył we snach!
W szarpaniu się daremnem już dłużej nie wytrzymał
Przez wąskie szpary żrenie drga zaczajony przestrasz,
Wspomnienia dni jutrzniowych konają przed oczyma.

I jak biblijny Jakób z niewyciężonym duchem,
Ze swą upartą wolą szamoce się i targa:
O, gdyby nie odepchnął jej wtedy sercem głuchem!
O, coś poradzi teraz bezsilna, niema skarga?

A chaos, tak jak burza, zniszczenie w myślach sieje,
Kurczowo zwarte wargi bieleją martwem zimnem;
Wtem przebłysk: przecie jeszcze wymodli się nadzieję
I miłość ból przekreśli najśłodszym, cichym hymnem.

I długa, długa podróż w trzęsącym się wagonie,
Szalone myśli w głowie, tysiącem brzmiące hucisk,
A wkońcu okrzyk, płacz jej, splecione ciepło dłonie
W kojący wszystkie bóle, nierozzerwalny uścisk.

LIPOWY MIÓD

Warzyła lipa złoty, słodki sok w swych trzewiach,
Śniąc cicho sny rozkoszne o dniu miodnych kwitnień,
Aż przyszedł maj i rankiem sny jutrzniane przewiał,
I rzęsy wonnym pączkom poodmrużał sprytnie.

I oblał ją wilgotny, skrzący, kwietny polysk,
W powietrzu miód głosiły roje woni miłych,
Poczuły zew pachnienia pracowite pszczoły
I lipę szarym wieńcem wkoło oblepiły.

A w ulach przysadzistych wśród starego sadu
Komórki są zaciszne, lepkie i woskowe,
Tu pszczoły miód składają na człowieczą radość—
O, szumy kolorowe, kołyszące głowę!

W MROKU

Takie życie jest przykrą bolączką.
Choćby jedna odmienna chwila!
Dni w gorąccie nędzy się jatrzą,
Trud sękaty nas obezsila.

Nie widzimy światła, ni nieba,
W mętnych oczach zawsze nam czarno.
O, dlaczego nie dla nas gleba
Rodzi jądne, pożywne ziarno?

Przecie my to ją użyźniamy
Słonym potem i krwią serdeczną,
Czemu nam więc od głodu płamy
Na twarz kładzie dzika konieczność?

Czemu dłonie nami puchną i cierpną,
Czemu w polu oddechu nam mało,
A wyschnięte znękane piersi
Skamieniały w skrzywiony pałąk?

W ciało nasze, co krwią się pali,
Dni jak gwoździe ostre się wbily.
Nie, nie może już być tak dalej,
Dłużej cierpieć nie starcza siły.

Wyjść znienacka w pole o świetle:
Skargi, modły, przekleństwa zebrać—
Z hukiem trzaskać w obrzydłe życie,
Co się wlecze, jak chory żebrak.

MIECZ NA LEMIESZ

Z oczyma wlepionemi w mogilny bezbrzask dali,
Na przyjście czekający świetlanych, nowych królestw,
Splatali ponad głową ramiona i płakali,
Że skapać się nie mogą w skrach promienistych ulew.

Zgasł bowiem niespodzianie ożywczy wulkan słońca,
Co wszechświat swoim ciepłem przez lat miljardy karmił
Od chwili, kiedy znaleźć swym barbarzyństwom końca
Zbroczone krwią nie mogły kły rozwyrzonych armij.

Strugami krew zalała w wigilję katastrofy
Ojczyznę całą ziemską i w piersi jej się wgryzła,
Czerwieni jej nie starły łopaty i kilofy,
Cuchnąca tryska w niebo aż po dziś dzień trucizna.

Wszechwładnie noc chwyciła w swe sępie szpony władzę,
Świat w mroczne, potaigane całuny omotała,
Mrok czarny był i gorzki, niby syczące sadze
I darmo z nim walczyły znękane męką ciała.

I już ostatnia iskra nadziei w nich zamarła,
 Wołania ich rozpaczne zostały bez pomocy,
 Rzęziły i charczały ostatnim jękiem gardła
 Pod druzgoczącą stopą brutalnej, zimnej nocy.

I wtem, jak Bóg, jak słońce spragnione, wymodlone,
 Głos jakiś gromem rozbrzmiał w krzykami prutem niebie
 I z serc zdarł zapleśniałych z szatańskiej mgły zasłonę,
 Co widzieć im ratunek wzbraniała w głębi siebie.

A głos ten przecie dawno od niepamiętnych wieków
 Ludzkości szeptał ciągle, że chcąc odrodzić ziemię,
 Miecz gwałtów, krzywd i hańby najrychlej trzeba przekuć
 Na ciszą skib dzwoniący, wieszczący szczęście lemiesz.

Niegrzeczne dzieciaki czyli zabawa w starszych

Je-ten tytuł albo drugi. Jak kto woli. Bo przecież nie w tytule sedno rzeczy, bo przeci nie o tytuł chodzi, ale o to, że nasi koledzy z lubelskiego gimnazjum, im. Zamoyskiego z pompą wielką i niemniejszym hałasem dążący „W słońce“, z rozbrajającą wprost naiwnością zaczynają naśladować poważną krytykę i sami się biorą do wydawania swoich, niezupełnie coprawda jeszcze tymczasem dowarzonych sądów o współczesnej literaturze.

Do jakich tam oni wniosków nie dochodzą w tym swoim, siłącym się na oryginalność artykule o sztuce i poezji! Co zresztą mówię. Nie artykuł to, ale całe studjum. I to poważne, bo przeplecione obficie cytatai z literatury niemieckiej, francuskiej, włoskiej i kto zliczy jeszcze z ilu innych; bo roi się od wyrazów, które dopiero na podstawie „dwudziestu pięciu tyjących wyrazów obcych“ można zrozumieć. Czyż mała jeszcze gwa-

rancja poważności pracy?

A ta nonszalancja, z jaką rozwiązują takie problemy, nad którymi niejeden wytrawny krytyk nie miesiąc i nie dwa się zastanawiał, a pomimo tego nie odważył się na tak bezwzględne sformułowanie swoich wyroków na literaturę dzisiejszych czasów, czyż mało mówi?

Bo proszę sobie wyobrazić: jedno pociągnięcie pióra niedorosłego krytyka i cała wartość współczesnej literatury jest przekreślona. Mniejsza już o założenia same, dotyczące istoty i celów poezji, nie będziemy o nie się spierać, ale te wnioski, wnioski, które z nich wypływają! Przecie to nie do zrozumienia! Potępić wszystko, co dzisiejsza literatura daje!

I to nietylko o polskiej literaturze mowa. Nietylko polskiej literaturze ci znawcy wytworni, którzy pomimo swojego wieku cofać się mogą myślą o kilkanaście lat, żeby śledzić rozwój współczesnych kierunków li-

terackich, zarzucają dekadentyzm i całkowite zwyrodnienie. Stać ich przecie i na coś lepszego. Czyż nie znają oni na tyle innych literatur współczesnych, żeby się wahać przed wydaniem takiego sądu o nich wszystkich?

A prawda! Byłbym zapomniał powiedzieć, że specjalnie „Skamandra” wyróżniają. Z mecenasowskim iście poklepywaniem po ramieniu przyznają oni łaskawie skamandrytom i talenty poetyckie i prawo do mianowania się poetami.

Coż, kiedy, jak to zwykle mecenasi, są kapryśni. I koniec końcem dochodzą do przekonania, że główną z sługą „Skamandra” było... zwalczanie wśród szerokich, niepowołanych do pisania mas manji wierszoróbstwa!

Moi kochani! Gdyby skamandryci zechcieli z tą manją walczyć tak, żeby się aż od was uznania doczekać, musieliby się zrzec możliwości jakiegokolwiek tworzenia własnego w dziedzinie poezji. Walczyli, walczyli, naturalnie, ale tak samo walczą inne nawet nieliterackie pisma i cóż z tego? To nie znaczy przecież, że ta domniemana walka miałaby być główną zasługą „Skamandra”.

Zresztą tak. Musieli aż taką wielką zasługę wynaleźć, jeżeli mu innych odmawiają, jeżeli mówią, że pomimo wczytywania się w utwory współczesnych poetów nie mogą w nich znaleźć „żadnych pierwiastków istotnie świeżych i oryginalnych, ani co do treści, ani formy...”

I to mówią hurtem o Wierzyńskim, którego „Wiosna i wino” pod względem treści i była rewelacją w literaturze polskiej, i o Tuwimie, którego twórcę nazywają maleńkiem bagienkiem, i o Lechoni, który niemniej od Tuwima przyczynił się do podniesienia formy dzisiejszej poezji na taką wyżynę, o ja-

kiej doniedawna tylko marzono i jakiej naprawdę poezja jest godna.

Nie wiem, może to dlatego tak mówią, że znając się tak subtelnie na poezji obcej, w polskiej mniej silni są. Kto ich tam wie. Bo jeszcze raz muszę podkreślić, że ich znawstwo literatury obcej jest wprcst imponujące. Za futuryzm na przykład uważają pisanie wierszy bez początku i bez końca, no i omijanie znaków przestankowych, co niby wypływa według nich z pewnej kolizji, w jakiej znajdują się futuryści z ortografją!

(Tutaj skromnie w nawiasie i na ucho autorom wiekopomnej rozprawy o sztuce i poezji muszę szepnąć, że jeżeli komuś się zarzuca nieznajomość ortografji, to samemu pod tym względem trzeba być już bez zarzutu i trzeba wiedzieć o tem, że z a p o m o c ą nie pisze się oddzielnie, że w końcówkach narzędnika zamków i przymiotników pisze się y m lub e m, e m i lub y m i zależnie od mianownika tej samej liczby, że trzeba więc pisać motywami szarpiącemi nasze zmysły, a nie szarpiącymi, pisać swemi sztandarami, a nie swymi, że nie do pomyślenia należy pisać każdy wyraz oddzielnie i t. p. To nie lekcja gramatyki przecie, prawda?)

No i cóż jeszcze? Kończyłby już czas. Kończę, ale muszę jeszcze o jednej rzeczy wspomnieć. Jeśli chcemy uchodzić za takich subtelnych znawców literatury, nie drukujmy swoich wierszy. Przecież one demaskują nas i stanowią najoczywistszy dokument, że wszystko to, cósmy z taką powagą wygłosili w swych pracach krytycznych, to nie nasze, a praca nasza to tylko bawienie się niegrzecznych dzieciaków, którym imponuje powaga starszych.

Jan Szczawiej

Kronika

Koła Literackiego im. St. Żeromskiego

Zainteresowanie literaturą współczesną oraz jej znajomość szerzyło na terenie naszego zakładu Koło Literackie im. St. Żeromskiego. Praca jego polegała na zapoznawaniu się z autorami współczesnymi na zabraniach Koła oraz na budzeniu zainteresowania wśród szerszych warstw kolegów przez urządzenie wieczorów literackich.

Zebrania odbywały się co dwa tygodnie. Dwa zebrania poświęcano zwykle poezji współczesnej, każde trzecie z kolei utworom patrona naszego Koła, St. Żeromskiego.

W dziedzinie poezji zapoznano się głównie z twórczością warszawskiej grupy poetyckiej „Skamander”, a więc z utworami Tuwima, Słonimskiego, Wierzyńskiego i mniej Lechonia i Iwaszkiewicza, z dzieł Żeromskiego przestudjowano „Promień”, „Siłaczkę”, „Doktora Piotra” oraz „Urodę życia”.

Każdy z członków zapoznawał się z temi utworami w domu, na zebra-

niach natomiast czytano referaty, omawiające poszczególne zagadnienia w przeczytanych utworach oraz prowadzono na tematy tych zagadnień dyskusję.

Nazewnątrz (nie tylko więc dla członków Koła) urządzone były w listopadzie 1927 r. obchód drugiej rocznicy śmierci St. Żeromskiego, na który złożył się odczyt p. prof. Jaworskiego o Jego twórczości, deklamowanie utworów, poświęconych Jego pamięci, czytanie fragmentów Jego dzieł oraz obraz sceniczny z „Róży” i urządzone w lutym 1928 r. wieczór, poświęcony grupie poetyckiej „Skamander”, którego program obejmował referat o twórczości poetów, do niej należących, oraz recytacje ich utworów.

Mówiąc o działalności Koła, wspomnieć trzeba także o przejęciu przez wydawnictwa naszego czasopiśma, które jako organ Samopomocy miało już zupełnie nie wychodzić.



Redaktor: **Józef Wüstenberg** Administrator: **Waldemar Królikowski.**

Redaktor odpowiedzialny: **naucz. K. A. Jaworski.**

Cena numeru niniejszego 50 gr.

Chełm, druk M. J. Bronfelda

WIECZÓR POETYCKI

J
A
N
A

S
Z
C
Z
A
W
I
E
J
A



poprzedzony przedmową o naj-
młodszej poczci polskiej



odbędzie się w dniach najbliż-
szych w lokalu Seminarjum
męskiego

